

# Amerykanie na igrzyskach rusofobii

3 lipca 2017

Media i politycy w USA nie przestają się kompromitować w pogoni za „agentami Putina”.

Niedługo minie rok, odkąd sztab Hillary Clinton rozpętał w Stanach Zjednoczonych antyrosyjską histerię związaną z „mieszaniem się” ludzi Władimira Putina w ostatnie wybory prezydenckie. Żadna z trzech działających obecnie komisji śledczych nie była jednak w stanie ustalić twardych faktów, świadczących o tym, że ludzie z otoczenia Donalda Trumpa działali wbrew racji stanu, w niejawnym sposobie zapewniając rządowi Rosji wpływ na amerykańską politykę najwyższego szczebla. Najwyraźniej jednak z medialnego punktu widzenia wydaje się to nieistotnym szczegółem. Zarówno w USA jak i na całym świecie, także w Polsce, media o profilu liberalnym, zawsze entuzjastycznie stojące „po stronie demokracji”, śmiało głoszą, że Trump jest „marionetką Putina”, a jego relacje z Rosją są co najmniej podejrzane. Jednak w mainstreamowej narracji na ten temat pojawia się coraz więcej kłopotliwych luk, nieścisłości i spektakularnych wpadek. Paradoksalnie najmocniej może to uderzyć w Partię Demokratyczną, która z „Russia-gate” uczyniła koło zamachowe swojej polityki.

## CNN – WPADKA ZA WPADKĄ

Dotkliwą porażkę na wojnie z Trumpem zaliczyła ostatnio telewizja CNN, która zmuszona była wycofać jeden z tekstów zamieszczonych w swoim serwisie internetowym. Redakcja uzasadniła decyzję tym, że artykuł nie spełniał uznawanych przez nią standardów dziennikarskich. Jak więc doszło do tego, że w ogóle pojawił się on na stronie CNN? W związku z tą sprawą odeszli trzej dziennikarze, autorzy niefortunnego artykułu (wśród nich był laureat nagrody Pulitzera, Eric

Lichtblau). Trudno jednak w tej sytuacji spodziewać się, że wina spoczywa wyłącznie na nich, bo za respektowanie wspomnianych standardów odpowiedzialny jest również sam wydawca.

Publikacja dotyczyła niejasnych powiązań finansisty Anthony'ego Scaramucci, odpowiedzialnego za pozyskiwanie funduszy na zeszłoroczną kampanię Donalda Trumpa, z instytucją o nazwie Rosyjski Fundusz Inwestycji Bezpośrednich (Russian Direct Investment Fund – RDIF). Artykuł dopuszczony przez CNN powstał w związku dochodzeniem, jakie wszczęła komisja senacka w sprawie spotkania Scaramucci'ego z prezesem zarządu RDIF Cyrylem Dmitriewem. Na stronie CNN można było przeczytać, że firma podległa Dmitriewowi jest częścią państwowego Wnieszekonombanku (VEB) – jednego z banków objętych antyrosyjskimi sankcjami obowiązującymi od 2014 r., poważnie ograniczającymi możliwości kredytowania rosyjskich banków przez instytucje i spółki amerykańskie z powodu aneksji Krymu przez Rosję. VEB był już wcześniej znany z tego, że prześwietlano jego powiązania z Jaredem Kushnerem, zięciem Donalda Trumpa, obecnie doradcą prezydenta. Zdaniem dziennikarzy CNN podejrzana rozmowa między Scaramuccim a Dmitriewem dotyczyła właśnie możliwości zniesienia sankcji przez rząd Trumpa. Wymowa artykułu była czytelna: Rosjanie wykorzystują Trumpa, żeby robić co chcą – dalej niszczyć pokój i demokrację na świecie.

Kilka dni później okazało się, że RDIF nie jest częścią VEB, co oznaczało, że nie podlega sankcjom. Wyjaśnił to w swoim oświadczeniu rzecznik RDIF, dodając że jego firma działa zgodnie ze wszelkimi regulacjami i wyrażając jednocześnie ubolewanie z powodu nierzetelności CNN. Rzecznik zażądał też od redakcji opublikowania przeprosin i sprostowania. Tym sposobem naciągany tekst "spadł" ze strony, a CNN zamieściło lakoniczny wyraz skruchy. Najciekawsze jednak, że stało się to po artykule polemicznym zamieszczonym przez agencję Sputnik, bo to właśnie za jej pośrednictwem wypowiedział się rzecznik

RDIF. Zaszedł tym samym fakt o znaczeniu symbolicznym. Agencja prasowa Sputnik i telewizja Russia Today to w oczach zachodnich ośrodków opiniotwórczych dwa główne kanały „putinowskiej propagandy”, oskarżanych o żerowanie na naiwności niewyrobionych odbiorców i podkopywanie ich zaufania do wiodących demokracji świata. Oba media zostały szeroko i oczywiście bardzo krytycznie omówione w słynnym choć bardzo nierzetelnym raporcie amerykańskiego wywiadu, opublikowanym w styczniu. Teraz okazuje się, że czołowe medium „wolnego świata” musiało ulec takiej właśnie tubie propagandowej, współuczestniczącej zdaniem liberałów w zniewalaniu ludzkości. Sprawa przykra, ale i znamienna. Opinia publiczna ma prawo zastanawiać się nad wiarygodnością czołowych mediów, skoro ich zdeklarowanym wrogom tak łatwo przychodzi obnażenie ich niekompetencji.

CNN przyznało, że wycofany tekst powstał w oparciu o jedno niesprawdzone źródło. Jakim sposobem mogło dojść do takiej kompromitacji? Wydaje się jednolity front, w jakim media głównego nurtu występowały do niedawna przeciwko Trumpowi, oraz wyjątkowe zaufanie, jakim darzyła je opinia publiczna, uśpiły trochę ich czujność, rozleniwiły je i doprowadziły do rozluźnienia dziennikarskiego rygoru. Tylko tak można wytłumaczyć fakt, że mimo całkowitego braku konkretów w sprawie rosyjskich powiązań prezydenta, prasa, telewizja i internet zdołały rozdać bezładny zbiór podejrzeń do rozmiaru afery o historycznym znaczeniu, którą emocjonuje się cały świat, i teraz z pełnym przekonaniem głoszą pogląd o ingerencji Rosji w wybór Trumpa i w amerykańską politykę.

Przy takim podejściu wpadka była tylko kwestią czasu. Zaskakujące jest jednak to, że ostatnia kompromitacja przyszła niedługo po wcześniejszej, równie żenującej. Grono czołowych dziennikarzy telewizyjnych CNN wypowiadało się związku ze zbliżającym się wówczas przesłuchaniem byłego szefa FBI zwolnionego przez Trumpa – Jamesa Comey, który w ciągu ostatnich dwóch miesięcy stał się głównym czempionem krucjaty

przeciwko „rosyjskiej inwigilacji”. Z poczuciem niezachwianej racji, powołując się na anonimowe źródło, informowali oni widzów, że wiedzą, co Comey powie przed komisją. Twierdzili mianowicie, że zaprzeczy wersji okoliczności jego zwolnienia, którą głosił Trump, i CNN prezentowała tę właśnie wersję jako obiektywną prawdę o „Russia-gate”. Gdy jednak Comey stawiał się przed komisją senacką, potwierdził słowa prezydenta. Telewizja uczciwie wytłumaczyła się ze swojego błędu, ale nie uniknęła – co zrozumiałe – złośliwej krytyki zarówno ze strony konkurencji, jak i mediów niezależnych, zawsze cieszących się z porażki mainstreamu. Kiedy jednak opiniotwórcza stacja telewizyjna okłamuje ludzi raz za razem, to kurtuazyjne tłumaczenie się niewiele zmienia i w oczach odbiorców zaczyna zakrawać to na arogancję.

## **JAK PUTIN PRĄD W AMERYCE WYŁĄCZAŁ**

CNN nie jest jedynym medialnym korpo-kłamczuchem. Pod koniec zeszłego roku iście tabloidowym wyskokiem popisał się Washington Post. Był to czas, kiedy amerykańska prasa żyła tematem domniemanych „hackerów Putina”, którzy mieli pomóc Trumpowi wygrać wybory. Bazując na niesprawdzonym źródle, redakcja WP oznajmiła Amerykanom, że rosyjscy hackerzy wzięli na celownik amerykańską sieć energetyczną i być może niedługo Putin wyłączy w USA prąd. Łatwo wyobrazić sobie, w jakim tempie ta sensacja została podchwycona przez publikę – rzeczywiście, błyskawicznie stała się hitem mediów społecznościowych. Zaraz potem jednak elektrownia w Vermont, na którą według WP został przeprowadzony atak hackerski, wystosowała sprostowanie, że owszem, znaleźli w swoim systemie złośliwe oprogramowanie, które może pochodzić od Rosjan, ale nie ma zagrożenia dla sieci w Vermont ani dla reszty sieci energetycznej w kraju. Washington Post musiał zamieścić stosowną korektę i wyjaśnić rodakom, że na razie prąd będzie: nie stwierdzono bezpośredniego zagrożenia, chociaż oprogramowanie hackerskie „stwarza ryzyko”. Kiedy jednak agenci federalni wszczęli śledztwo, okazało się, że odkryty na

serwerze malware nijak nie jest powiązany z działalnością Rosjan i prawdopodobnie w ogóle nie było to żaden cyberterroryzm – taka jest oficjalna wersja. WP opublikował zatem nowy artykuł, w którym uspokojono wreszcie Amerykanów, że żadnych hackerów nie było. Tak, czy inaczej redakcja nie dostrzegła potrzeby wyciągania żadnych wniosków. Jeszcze na wiosnę publicystka WP Jennifer Palmieri otwarcie twierdziła na łamach dziennika: „Rosja zaatakowała naszą republikę”.

Alarm niby odwołano, jednak nie do końca. Owszem, pojawiło się sprostowanie, ale indywidualni dziennikarze i blogerzy rozsiewający ziarna paniki przez Facebooka i Twittera żadnych dementi z reguły nie zamieszczali – tysiące ludzi, którzy udostępniali ten content, tym bardziej. Był to zatem proces nieodwracalny. „Wolność słowa” doprowadziła w tym przypadku do masowej dezinformacji i długotrwałych szkód w zbiorowej świadomości. Ostatecznie więc, choć inną metodą, osiągnięto efekt podobny do słynnego słuchowiska radiowego Orsona Wellesa sprzed prawie 80 lat, gdzie fikcyjna inwazja Marsjan została przedstawiona tak przekonująco i realistycznie, że tysiące słuchaczy wybiegło w popłochu na ulice, wyglądając ataku latających spodków. Tym razem stworzono masową wiarę w „rosyjskich hackerów”, dodatkowo umocnioną słynnym już raportem CIA, w którym agencja z dumą oświadczyła, że Rosjan namierzyła, bo na rządowych serwerach, gdzie rzekomo się włamali, zostawili fragmenty kodu napisane po rosyjsku. Co z tego, że eksperci od cyberterroryzmu wyśmiali tę niedorzeczność jako prymitywną manipulację i kolejny etap nagonki na Trumpa? Mit „rosyjskich hackerów” przetrwał, bo jest wygodny dla środowisk politycznych związanych z najbardziej wpływowymi amerykańskimi mediami: Washington Post, New York Times, CNN, NBC, CBS. Niestety nie sprawdziły one się na polu rzetelnego informowania opinii publicznej, celując za to wypadły w tym, co same zarzucają „tubom rosyjskiej propagandy”. Jednak wraz z kolejnymi dziennikarskimi kompromitacjami, Amerykanie zaczynają mieć już dość rusofobicznej histerii.

## IGRZYSKA ZAMIAST CHLEBA

Najlepiej jest to dostrzegalne na innym obszarze. Walka z domniemaną „rosyjską ingerencją” stała się obecnie motorem napędowym polityki Demokratów. Teoretycznie można by się spodziewać, że apetyt Donalda Trumpa na ostateczne rozmontowanie resztek zabezpieczeń socjalnych, dobicie służby zdrowia, obniżenie podatków najbogatszym, planowaną dewastację ekologiczną i umocnienie systemowego rasizmu, spowoduje, że Demokraci – przez niektórych nawet kojarzeni z lewicą – skupią się na torpedowaniu tych chorych pomysłów. Ale właśnie: tylko teoretycznie, bo de facto w ogóle nie słychać ich sprzeciwu. Demokratyczni kongresmeni jako część elity finansowej USA wiele nie stracą na cofaniu ich kraju do XIX wieku, pewnie nawet zyskają, wolą więc poświęcić się udziałowi w medialnym spektaklu, czyli tropieniu „agentów Putina” – to obecnie ich podstawowa metoda walki z prezydentem Trumpem. Tymczasem dziennik The Hill opublikował reportaż, w którym członkowie Partii Demokratycznej średniego i niskiego szczebla skarżą się na swoich waszyngtońskich reprezentantów. Zdaniem szeregowych działaczy zbyt wielką wagę przywiązują do tropienia Rosjan zamiast zająć się problemami zwykłych obywateli, a są one doprawdy niebagatelne. Jak się okazało, doły partyjne uważają, że oderwanie się liderów od rzeczywistości odbija się niekorzystnie na zaufaniu zwykłych Amerykanów. Istotnie, życie fikcją nigdy nikomu nie wyszło na dobre. Stronnictwo Hillary Clinton chyba faktycznie rozeszło się z rzeczywistością, bo opinia publiczna ma już dość. Niedawny sondaż ujawnił, że 73 proc. ankietowanych obawia się, że nagłośnione przez media śledztwa w sprawie rosyjskich powiązań uniemożliwiają Kongresowi zajęcie się najważniejszymi dla ludzi sprawami. Amerykanie najwyraźniej uznali „Russia-gate” za temat zastępczy i mają rację. Niektórzy, nieco uczciwsi i bardziej rozgarnięci demokratyczni kongresmeni również zaczęli się wypowiadać w tym duchu. Pamiętając jednak, jak wierchuszka partii potraktowała Berniego Sandersa, nie warto się spodziewać, że to oni będą nadawać ton polityce całej

formacji.

Rządy Donalda Trumpa w USA to jak na razie niepowstrzymana fala reakcji tak odrażającej, jakiej świat nie widział od dawna. Nie znaczy to jednak, że dobry jest dowolny sposób walki z nią. Demokraci i sprzyjające im media obrały drogę złą i głupią, choć zrozumiałą z ich punktu widzenia. Złą – bo prowadzi do lekceważenia nawarstwiającego się ludzkiego cierpienia powodowanego przez spotworniały, schyłkowy kapitalizm (jak i zresztą przez każdą postać kapitalizmu). Głupią – bo jest nieskuteczna, traktuje ludzi jak idiotów i uzmysławia wszystkim stopień alienacji zepsutych elit w stosunku do społeczeństwa. I wreszcie, owszem, zrozumiałą – ponieważ postawienie na spektakl i grę pozorów to dla nich optymalne wyjście, trochę na zasadzie: igrzyska zamiast chleba. Nie da się ukryć, że jest to ryzykowna taktyka, obliczona na krótkotrwały efekt, ale lepszej nie mają. Wiedzą, że nie mogą na poważnie podjąć problemu niszczących Amerykę nierówności, bo musieliby wystąpić przeciwko samym sobie. Stąd kuriozalny wyścig na wizerunkowy patriotyzm i pogoń za „zdrajcami” z transmisją na żywo. Jeżeli to się nie sprawdzi, wtedy przyjdzie Bernie i będzie to koniec partii. „The show must go on” – dlatego ostatnio Demokraci i Republikanie (którzy coraz bardziej oddalają się od Trumpa) wspólnie przyklepali w senacie rozszerzenie sankcji wobec Rosji. Inicjatywa wyszła oczywiście od Demokratów. W zamian za to najprawdopodobniej nie będą oni przeszkadzać drugiej stronie w likwidacji Obama Care, czyli w odebraniu Amerykanom ubezpieczeń zdrowotnych.

Problemem Stanów Zjednoczonych jest to, że władza Trumpa stanowi nieszczęście, ale ta katastrofa jest tylko nieretuszowaną wersją tego, czego chcieliby Demokraci. Cyniczna, oderwana od rzeczywistości elita „jaśniepanów” nie stanowi żadnej alternatywy dla nieokrzesanej tyranii. Skąd my to znamy?

Autorstwo: Paweł Jaworski

Źródło: [Strajk.eu](http://Strajk.eu)